Zet — sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 7 (55) WARSZAWA, DNIA 1 LIPCA 1934 R. CENA 50 GR.

Na ślepym torze?

„Przyjdzie czas, w którym Polska będzie schroniskiem opatrznościowem ludzkości".

Hoene-Wroński.

W numerze noworocznym „Zetu", w artykule „Polska nad Europą", pisaliśmy m. in.:

„U wstępu do roku 1934 widzimy Polskę na stanowisku kluczowem w Europie. Widzimy ją na skrzyżowaniu dróg, któremi bucha ekspanzja Zachodu na Wschód i Wschodu na Zachód. Widzimy ją wpośród nocy barbarzyństwa zapadającej nad światem, jako strażnicę kultury ducha przeciwko ślepo rozhulanej materji. Widzimy ją, wśród rąk potrząsających mieczami, z gałązką oliwną pokoju.. Ona jedyna już dziś prawie, trwa przy dobrze pojętej idei wolności demokratycznej i praw jednostki, przeciwko dzikim dyktaturom partyj i doktryn, rasizmom, proletaryzmom i deptającym osobowość ludzką kolektywom. Ona ostała się, jako jedyna już niemal opoka religji chrześcijańskiej i kościoła, gdy w całej Europie rozbrzmiewają hasła bezbożnictwa i neopogaństwa, gdy czerwienieją nad ludzkością okropne łuny palonych świątyń".

Pierwsza połowa roku 1934 przyniosła Polsce dalsze sukcesy na terenie międzynarodowym, dalszy wzrost jej autorytetu, równocześnie jednak i niepokojący ferment wewnętrzny, sygnalizujący niebezpieczeństwo rozkładu moralnego zarówno w niektórych grupach prorządowych, jak w prawym i lewym odłamie społecznym.

W dn. 15 czerwca tajemniczy Ktoś dopuścił się ohydnej, skrytobójczej zbrodni na ministrze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Wślad za tą zbrodnią, jako odwet obrażonego państwa i prawa przyszedł dekret o obozach izolacyjnych, dekret niewątpliwie konieczny, tem niemniej jednak budzący niewesołe refleksje.

— — — — — —

Ludzkość całego globu, przedewszystkiem zaś Europa współczesna, zbliża się obecnie do punktu kulminacyjnego wielkiego przesilenia kultury, jakie — zdaniem jednych od kilku lat, a zdaniem innych od czasu rewolucji francuskiej — boleśnie i krwawo przeżywa. Brak celu powszechnego i niewzruszonego autorytetu moralnego, indyferentyzm wobec Prawdy, zwątpienie w moc rozumu do opanowania tajemniczych przyczyn przesilenia, utrata równowagi ducha, chaos bezkierunkowy programów i doktryn zwalczających się zaciekle, zbrutalizowanie metod tej walki, — oto naczelne objawy strasznej choroby, jaka nurtuje organizm duchowy współczesnej ludzkości. Równocześnie, jako rezultat olbrzymiego, długowiecznego procesu rozwojowego, wyzwala się w niej potężny żywioł energji twórczej, która nie znajdując dla siebie ujścia w kierunku pozytywnym, nie będąc pod kontrolą rozumu, nie mając określonego celu, dyscypliny moralnej i metody, przeistacza się w ślepy, ciemny *irracjonalizm*. Ludzkość przeżywa jakiś iście apokaliptyczny proces wyłamywania się z dotychczasowych, przestarzałych norm życia, zdążając z szybkością rozpędzonej lokomotywy ku nowej, świetniejszej erze historji, ku swoim przeznaczeniom ostatecznym i ku swym absolutnym celom. Ale lokomotywa postępu, gnająca po szynach dziejów, nie ma dziś jeszcze maszynisty: twórczego, świadomego celu i znającego prawdę *rozumu*. Cóż dziwnego, że jakiś tajemniczy, złośliwy, z pod ziemi wyrosły bies, usiadł okrakiem na lokomotywie i zachłyśnięty właściwą mu rozkoszą niszczenia, pijany żądzą destrukcji, prowadzi ją umyślnie na ślepy tor, aby roztrzaskała się w śmiertelne szczęty.

Jak go unieszkodliwić, gdzie wytropić, czem przewalczyć, tego nieprzyjaciela prawdy, rozumu i ładu, skoro gnieździ się on gdzieś w nieuchwytnej próżni, w zakamarkach ludzkiej duszy, w jej ślepych, otamowanych kulturą instynktach anarchji i przewrotności, instynktach, które w chwilach niedoli powszechnej, w epokach rewolucyjnego podniecenia i fermentu, podnoszą głowę i wybuchają na wierzch z radosnym skowytem przebudzonej bestji ludzkiej.

Któż-bo zagrodzi drogę temu strasznemu widmu „starego świata grzechu", umiejącemu tak przebiegle i nieuchwytnie zamienić Prawdę w fałsz, Dobro w zło, Piękno w ohydę. Kto wydrzeć ma mu z ręki ster losu, gdy intelekt współczesnej ludzkości zdeprawował się w utylitarystyczny, materjalistyczny sensualizm, a wola jej w ślepy, histeryczny instynkt przemocy i gwałtu. Obydwie te władze ludzkiej duszy zbiorowej, wypuściły już z rąk cugle historji, odkąd intelekt — zamiast dociekać prawdy — roztopił się w agnostycyzm, relatywizm, kult doczesności, bezbożnictwo i komunizm, i odkąd wola — zamiast służyć prawu moralnemu — ustanowiła prawo pięści, nietzscheański „ideał" mocy, wznoszący ponad dobro i zło „rasę panów", i przeciwstawiła rozumnej trzeźwości instynkt, pożądanie i histerję, pogański nacjonalizm i hitleryzm. Obydwie władze duszy zbiorowej zwyrodniały w równej mierze w irracjonalizm. Bo czyż intelekt, ogłaszający niepoznawalność i bezużyteczność prawdy, rezygnujący z dążności transcendentnej umysłu ludzkiego, pogrążający masy w wyłączność materjalnej doczesności, nie jest równie *irracjonalnym*, przeciwrozumowym, jak wola, gubiąca jedyną swą busolę: kategoryczny imperatyw moralny praktycznego rozumu?

— — — — — —

Gdy noc zapadła nad ludzkością, gdy nerwowy niepokój wciąż rośnie i szerzą się nastroje upadku, gdy pracują gorączkowo fabryki gazów trujących w przededniu nowej rzezi, gdy jedne kraje Europy grzęzną w bagnie deprawacji moralnej, inne poddają się histerji absurdalnego rasizmu, w innych pękają bomby sabotażystów, a w innych znowu szaleje ucisk proletarjackiej dyktatury, — ostała się jeszcze Polska, „schronisko opatrznościowe świata". Ostała się Polska, jakby rozmyślnie powołana do niepodległego bytu na tę właśnie chwilę, i ustawiona w centrum przesilenia dziejów, pośrodku chaosu i nocy, między hitlerją a komuną. Polska, szaniec cywilizacji chrześcijańskiej, twierdza warowna kultury, strażniczka wszystkich kardynalnych zdobyczy i dóbr duchowych minionych tysiącleci dziejów, cudem jakby utrzymująca równowagę między pokojem bożym a siłą miecza, tolerancją a wiarą, wolnością a przymusem prawa, ideałem narodowym a wszechludzkim. Polska, uchroniona dotąd od wszelkich skrajności i zboczeń polityczno-socjalnych, od haseł teroru, bezbożnictwa, pogaństwa, od tajnych wpływów „świata podziemnego", różnych zakonspirowanych międzynarodówek, wszechwładnie rozpanoszonych na stolicach Starego i Nowego lądu. Polska, dla której słowa: Bóg, wolność, nieśmiertelność, dobro i prawo, nie są jeszcze pustem brzmieniem. Polska, czysta jeszcze i nieskażona, wierząca w siebie i w ludzkość, młodzieńcza żywotnością i entuzjazmem, wzgardliwie odrzucająca wszelki nihilizm etyczny, społeczny i umysłowy, jedyna ze wszystkich dziś ludów zdolna wznieść sztandar nowego człowieczeństwa, ponad odmętem starego, ginącego świata. Polska, patrząca w otchłań irracjonalizmu i barbarzyństwa, otwierającą się pod stopami człowieka XX-go wieku, spokojnie i bez zawrotu głowy, nieomylnie pewna bliskiego zwycięstwa ducha nad materją, rozumu nad szaleństwem „biesów".

Polska, której największe kreacje duchowe: jej filozofja i jej poezja wieszcza, predestynują ją zgóry do wielkiego dzieła odnowy, do uzdrowienia chorego intelektu i chorej woli, do rozproszenia mroków irracjonalizmu przez jasny, zwycięski *rozum twórczy*. Polska, której myśl umiała opanować sam ów potężny żywioł twórczości, niosący Europę współczesną naoślep, bez kierowniczej idei, w mglisty bezkres nieznanego jutra, umiała odkryć w tym żywiole twórczości Logos żywy i ująć go w żelazne karby metody, stworzonej przez filozofję absolutną Hoene-Wrońskiego.

Polska: Słowo. To, które jutro ciałem się stanie...

— — — — — —

I oto pod tę warownię kultury ktoś już podkłada miny niszczące. Oto bies wszechwładny irracjonalnego żywiołu, strwożony widmem Tej, która zgniecie łeb węża i zapanuje twórczo nad chaosem, rozzłoszczony rosnącą potęgą i autorytetem odrodzonego państwa polskiego, — zapuszcza już wśród nas macki intrygi i teroru. Działa chytrze i sprawnie. Nawet ludzie dobrej woli mimowolnie — usidleni — służą mu za narzędzie. Zdeprawowawszy *intelekt* płaskim sensualizmem i hedonizmem, propagandą „boyszewizmu" i różnych komunistyczno-syndykalistycznych „ideologij", zaczął zkolei deprawować *wolę*, pchając młody nacjonalizm polski w objęcia roboty antypaństwowej, ku hasłom rewolty, rasizmu, przemocy. Aż wreszcie, sądząc, że już dostatecznie przysposobił chaos wewnętrzny i nienawiść, rzucił do naszego domu płonącą żagiew skrytobójczego teroru, mordując z „fachowem wyrafinowaniem" najwyższego stróża ładu, ministra Polski odrodzonej. Snadź liczył, że akt ten przychodzi w sam czas, by wzbudzić walki wewnętrzne, rozpalić wzajemną nienawiść, rzucić na siebie rząd i naród, podkopać nazewnątrz autorytet Rzeczypospolitej i wiarę Europy w stabilizację jej stosunków społeczno - politycznych. Może rachował także na rozpętanie walk narodowościowych, albo na nieufność i zaognienie stosunków między Polską a jej sąsiadami z Zachodu i Wschodu. Może też — co najpewniejsze — odwrócić chciał uwagę narodu od wielkich jego zadań w sferze myśli i ducha, unicestwić jedyną nadzieję ratunku świata, i wpędzić i u nas także lokomotywę losu na ślepy tor zguby.

Nie wiemy jeszcze kim był zabójca: czy wyszedł z łona któregoś z obozów politycznych (w co chyba wątpić należy), czy był szaleńczą jednostką działającą na własną rękę (co wobec wyrafinowanego zorganizowania tej zbrodni, również zdaje się być wykluczonem), czy też narzędziem zdeprawowanej konspiracją i terorystycznemi bojówkami „młodej Ukrainy", lub też którejś z „agentur obcych", tych ciemnych sił międzynarodowych, usiłujących grać rolę „opatrzności historycznej". Wiemy jednak, i wie to z nami cała Polska, że tylko zło może iść do swych celów przez zbrodnię. I ostrzegamy!

— — — — — — — — —

Polsko! Ty, któraś umiała złączyć religijność z tolerancją, pokojowość z bohaterstwem Twych żołnierzy, naród z ludzkością, demokratyzm obywatelski z arystokratyzmem ducha, — Ty, która nie znałaś królobójców, ani zaborczych wojen, której patrjotyzm był hasłem „za wolność naszą i waszą", — Matko Hoene-Wrońskich, Wyspiańskich, Koperników, Skargów i Norwidów, — zachowaj w tej ciężkiej chwili, jasny sąd rozumu, cześć dla prawa moralnego i spokój ducha.

Przysięga Illuminatów

Tajne związki, ich cele, organizacja, „sekrety", metody działania, wywołują obecnie coraz bardziej rosnące zainteresowanie. Małe rozpowszechnienie tych związków w Polsce (masonerja liczy np. obecnie w Polsce, podług „Kalender für Freimaurerei" 1933/34 zaledwie 450 członków, wobec 4½ miljona członków masonerji właściwej i przeszło 1 miljona członków, zrzeszonych poza obrębem lóż uznanych) sprawia, że nie wie się o nich u nas prawie nic.

Wolnomularstwo (masonerja) nie jest jedyną organizacją tajną. „The Encyclopedia Americana[1]) zwie je „związkiem stowarzyszeń, dzierżącym za powszechną zgodą prym wśród związków braterskich". Taki np. „Zakon Gwiazdy Wschodniej" liczący kilkaset tysięcy wtajemniczonych jest stowarzyszeniem odrębnem. Istnieje mnóstwo tajnych związków o charakterze mistyczno - religijnym, lub teozoficznym; niektóre z nich odnoszą się nawet wrogo do masonerji, w której przeważają tendencje wolnomyślne, radykalne, ateistyczne.

Jedną z najbardziej interesujących filjacyj tajnych są Illuminaci. Przeraźliwy chaos i zagmatwanie rozgałęzień tego „świata podziemnego", którego poszczególne odnogi powstają i znikają, aby po latach pojawić się znowu lub przybrać inną postać, sprawia, że jest niezmiernie trudno ustalić, które ze związków tajnych podpadają pod to miano. Najwięcej danych historycznych mamy o bawarskich Illuminatach Weishaupta, który zresztą został sam po krótkim rozkwicie stworzonej przezeń organizacji „unicestwiony" przez „świat podziemny", którego celom nie odpowiadała widocznie ta filjacja. Z największem prawdopodobieństwem szukać można Illuminatów wśród wtajemniczonych rytu „Ścisłej Obserwy", powstałego w łonie wolnomularstwa niemieckiego, (którego członkowie składali ślub absolutnego posłuszeństwa), następnie Różokrzyżowców („rosei crucis"), rytu szwedzkiego i „Braci wtajemniczonych Azji". W każdym razie związki Illuminatów, nawet te, które wyszły z łona masonerji, stanowią filjację odrębną, „wyższą" i dążą do zawładnięcia masonerją i wszystkiemi wogóle tajnemi związkami, nawet wrogiemi wolnomularstwu, chcąc odegrać wśród nich rolę kierowniczą.

Cytujemy poniżej autentyczny tekst przysięgi Illuminatów, podany w jednym z dzieł Wrońskiego, który potężnym swoim umysłem przeniknął do głębi tajniki owego „świata podziemnego" i wykazał zupełną nicość rozumową wszystkich jego symbolów, przysięg i wtajemniczeń, oraz szkodliwy, wprost destrukcyjny wpływ, jaki wywiera większość związków tajnych na rozwój duchowy ludzkości.

„W imię Syna ukrzyżowanego, przysięgnij potargać wszystkie węzły, jakie cię jeszcze wiążą z ojcem, matką, braćmi, siostrami, małżonką, krewnymi, przyjaciółmi, kochankami, królami, przełożonymi, dobroczyńcami, i kimkolwiekbądź, komu przyobiecałeś wiarę, posłuszeństwo i służbę".

„Nazwij i przeklnij miejsce, które cię widziało przychodzącym na świat, abyś istniał w innej sferze, do której nie wejdziesz, dopóki się nie wyprzesz tego smrodliwego globu, nędznego odpadku niebios".

„Od tej chwili jesteś zwolniony od rzekomej przysięgi ojczyźnie i prawom; przysięgnij wyjawić twemu nowemu przełożonemu, który da ci się poznać, wszystko co zobaczysz lub uczynisz, posiądziesz, przeczytasz czy zrozumiesz, nauczysz się lub odgadniesz, a także śledzić i szpiegować to, co nie rzuciło ci się w oczy".

„Czcij i poważaj Aqua Tofana[2]), jako pewny, szybki i konieczny środek oczyszczenia globu przez śmierć tych, którzy chcą zohydzić prawdę i wydrzeć ją z naszych rąk".

„Omijaj Hiszpanję, omijaj Neapol[3]), omijaj wszelką ziemię przeklętą, strzeż się wreszcie pokusy zdradzenia tego, coś usłyszał, albowiem grom nie jest prędszy od ciosu, który na ciebie spadnie, gdziekolwiekbyś się znajdował".

„Żyj w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego".

Hoene - Wroński opatruje ten tekst następującym komentarzem:

„Jakaż potworna mieszanina najokrutniejszej zbrodni z świętemi mianami prawdy i religji! Cel takiej przysięgi — i wszystkich innych tego rodzaju — jest wyraźny: zniszczyć wolną wolę tego, co ją składa, t. zn. sprawić jego **destrukcję moralną**. Człowiek, który wymówił to bluźnierstwo, zatracił swą wzniosłą godność istoty rozumnej; jest on wymazany na zawsze ze świata".

———

[1]) Patrz „Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj", Skł. gł. „Dom Książki Polskiej".

[2]) Straszliwa trucizna, której skład chemiczny jest już dziś znany chemikom, a która zabijając nie pozostawia żadnego absolutnie śladu.

[3]) W krajach tych, z powodu interwencji kościoła, tępiono związki tajne, karząc nawet niekiedy śmiercią za należenie do nich.

Mussolini w apoteozie

Entuzjastyczną pracę o Mussolinim wydał w języku francuskim Artur Fonjallaz. Tytuł: „Energie et Volonté": Un chef-Mussolini. Etude politique et militaire" (La Revue Mondiale — Paryż). Książka jest apoteozą Mussoliniego. Autor pisze m. in., że Duce „stanie wreszcie jednego dnia na czele wszystkich sił antymasońskich i antykomunistycznych. Wtedy znikną granice między ludami i będą istnieć tylko dwa obozy".

Premjera z przed lat

Z zapisków o Wyzwoleniu

O premjerze *Wesela* istnieje cała literatura. Cytuje ją prof. Płoszewski w swej edycji *Wesela* we „Wielkiej Bibljotece". Przywodzi również echa przyjęcia, jakiego sztuka doznała u współczesnych i zwyczajem historyków literatury, przemilcza najważniejsze. Że w sztuce szło o weselu Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną, wiedzieli wszyscy; że szło o inne, we finale ukazane Pana Tadeusza, o weselu szlachty z chłopem i o podjęcie przez niego odpowiedzialności za przyszłość, zgadywało kilku; że mogłoby się rozchodzić i o inne przez wielkie W Wesele, które się rozpocznie, gdy róg złoty — niepodległość państwowa — zostanie zwrócony, zgadł tylko jeden człowiek: niepokaźny żyd kuternoga, „stylem derwiszów" pisujący mało przez kogo czytane artykuły.

Jak był pierwszym, który wskazał na związek *Wesela* z mickiewiczowską dramaturgją („jest to dramat, jakiego pragnął dla literatury polskiej Mickiewicz"), tak był Stanisław Lack pierwszym, który nazajutrz po premjerze odkrył — hipokryzję *Wesela*. „W starożytności umiejętność odgadywania losów ludzkich z pewnych znaków, także słów, nazywano hipokryzją". *Wesele* jest takiem „dziełem odgadywania". Stworzył je człowiek o umyśle „jasnowidzącym, więc obdarzonym wyobraźnią niszczącą, usuwającą wszystkie zapory" — człowiek, który przez to, że „odgaduje losy ludzkie, jest ich twórcą". Artykuł jest kapryśnem rozwinięciem tego motywu, ale wszystko inne przy nim — wszystko, co wówczas pisano — już dziś znaczy nie wiele. (Nawiasem mówiąc, Lack nigdy nie napisał tego głupstwa, które mu przypisał Sierosławski, że Chochołem jest sam Wyspiański: pisze o Chochole, jako o twórcy-instygatorze tego, co się dzieje w dramacie a na co — on jeden sprawę sobie zdając ze sytuacji — patrzy „widz hipokryta, poeta").

Trudno zrozumieć, co dzisiejsi zakłamywacze *Wesela* nazywają jego „tradycyjną interpretacją"; w każdym razie nawet tak mało o „hipokryzję" podejrzany pisarz jak Sinko stwierdza, że stosunek współczesnych do tego dramatu był — nieporozumieniem. Ale obojętne jest, czy nie rozumiejąc lub nie chcąc rozumieć Słowackiego, brano Wernyhorę za dobrego ducha; finał dramatu interpretowany być mógł „pozytywnie" tylko przez obłąkańców. I istotnie trzeba aż było zupełnego rozkładu polskiej „mentalności", by pojawiły się interpretacje prof. Cywińskiego i Kucharskiego. Jeśli — jak chce pierwszy — *Wesele* było przeciwstawieniem Chochoła-Rzeczywistości Złotemu rogowi - Marzeniu, to ponieważ rzeczywistością ówczesną była niewola — *Wesele* poprostu głosiło trójlojalizm, a jeśli — jak chce drugi — napisane było po to by powiedzieć, że chłop powinien zgubić róg złoty i że przez to właśnie dowiedzie zrozumienia swej misji dziejowej, to także nie było się czem alterować i ludzie, którzy jak autor „Małpiego zwierciadła" po słynnej premjerze łkając przesiedzieli na „plantach" do rana, byli doprawdy idjotami. „Ciebie to drażni, mówi Konrad do maski, że jestem zrozumiany, niejako pomimo mnie, — nawet mimo mojej niejasności". Człowieka dzisiejszego drażni, że ludzie ówcześni w ówczesnej przez małe „w" aktualności *Wesela*, wyczuwali jeszcze coś innego by naturalnie o tem, gdy przyszła pora, zapomnieć. Ale niepotrzebnie się lęka o tradycję. Tradycyjna interpretacja była tylko ta jedna: nie myśleć.

*

Sukces *Wesela* rozstrzygnął się w Krakowie, ale mimo Krakowa. Utrwalił go *le Polonais moyen* — przejezdny królewiak zwłaszcza — a zadecydowała o nim wbrew socjecie krakowskiej, t. zw. intellektualna elita. „Socjeta krakowska, pisze jeden z współczesnych[1]), przyjęła sztukę pod kątem widzenia plotki. Minę miała pocieszną. Było w niej coś z małpy, której dano kokosowy orzech. W pierwszych recenzjach i na herbatkach obracała go na wszystkie strony, opukiwała go i raz wraz nim potrząsała. Czuła, że pod twardą łupiną chlupie jakieś mleczko i jakieś jądro rzegoce, ale dobrać się do niego nie umiała. A ponieważ ubirecony Arystarch (St. Tarnowski), zirytowany sceną z Hetmanem, ostentacyjnie opuścił lożę a nawet zaklął podobno, więc poczęło urabiać się zdanie, że *Wesele* może jest niecałkiem pustym orzechem ale zrobaczałym. I możeby przytem zostało, gdyby we własnym organie Arystarcha w feljetonach „Czasu", nie ukazał się z polotem i kongenjalnie skreślony rozbiór sztuki pióra naczelnego redaktora, Rudolfa Starzewskiego".

Nad „z polotem i kongenjalnie skreślonym" artykułem Starzewski pocił się trzy dni, zamknąwszy się w domu z teatralnym rękopisem (zachował wtedy na pamiątkę scenę, w której sam występuje); niemniej istotnie jego to artykuł — sprytny tylko ale najlepszy z tego, co się wówczas pojawiło w dziennikach — przechylił szalę na stronę entuzjastów. Człowiek, którego duszę, indywidualnie i w osobie jego duchowych spadkobierców, dramat w całej jej zgniliźnie odsłonił w postaci Dziennikarza; człowiek, który miał nawet nie czekać śmierci Wyspiańskiego by Polskę współczesną z Jego teatru zaprowadzić do Balonika — zadecydował o sukcesie *Wesela*.

Osądzona w *Weselu* ówczesna t. zw. intelektualna elita od dzisiejszej lepszą może nie była. Różniła się od niej tem — i tu Starzewski był reprezentatywny dla swego pokolenia — że nawet gdy była cyniczną, rezerwowała sobie w duszy zakątek, gdzie się mogła samej siebie nie wstydzić: uznawała i czciła prawość w sztuce, bez której sztuki nie ma. I czuła wielkość. „Czas" ówczesny — „Czas" płatnych skrybów, którym nic nie pozostawało z wiary ich panów — redagowany był przez ludzi „kulturalnych" i odbronzowniczą akcją Tarnowskich i Weyssenhoffów ośmieszać się nie potrzebował: z całym dla „wielkiego artysty" respektem, pogrzebał w kabarecie myśl, która na lat tyle naprzód Dziennikarza - błazna z laseczką kaduczą w ręku ukazywała na czele piekielnie-pogrzebowego *Wesela*.

*

Premjera *Wyzwolenia* nie była podobną do premjery *Wesela*. Nie była, przynajmniej w sensie lokalnym, sensacją plotkarską. Nieliczne rysy „z natury" tak były przestylizowane, że zaczęto się w tem grzebać dopiero później. Koncept, według którego Wyspiański, tak bezwzględnie w *Weselu* sportretowawszy o ileż sobie bliższych a od Przybyszewskiego nie mniejszych, tu naraz jął go „zwalczać" w postaci olbrzyma a tak bojaźliwie, że to na jaw wyjść miało dopiero w ćwierć wieku później — ten koncept byłby wtedy ubawił nawet teatralne garderobiane. Bąkano coś o St. Tarnowskim i Stańczykach, ukazanych w scenie z Prezesem i o kardynale Puzynie, którego słynne „Na kolana" do nieszczęsnego wyrzeczone ks. Puszeta znalazło się w ustach Prymasa, ale nawet sfery interesowane wolały otwarcie przynajmniej o to się nie obrażać. Bo też i ta premjera nie była już aferą krakowską. W dwa lata mało przed tamtą znany autor *Wesela* stał się kimś w Polsce. Kraków nienawidził i dławił się słowem, przeciw któremu antidotum znaleźć miał w „Słówkach" — ale na razie przykucnął, dumny ze swej „kultury" i z takich jak to przedstawień, na które z pod trzech zaborów zjeżdżała się ówczesna umysłowa krema.

Dyrektorem teatru był Kotarbiński. Mało kto więcej jak ten aktor - literat głupstw napisał i powiedział — w życiu i ze sceny, bo jego lenistwo w uczeniu się ról było przysłowiowe. O stosunku jego z Wyspiańskim kursowały różne zabawności. Opowiada z nich jedną Boy, który rzecz ciekawa, z własnego z Wyspiańskim stosunku także tylko zapamiętał jego ironję. Kotarbiński napiera się roli Króla w Bolesławie i przypomina, że on przecie grywa postacie Szekspira. „Szekspira to pan grać może, bo Szekspir umarł i już mu trudno zaszkodzić", słyszy odpowiedź, Ale choć nie wiele z tego co wystawiał zrozumiał a przed wystawieniem *Akropolis* się cofnął, za jego to dyrekcji teatr krakowski wystawił *Bolesława* i inscenizację *Dziadów*, wystawił *Wesele* i *Wyzwolenie* — i przez chwilę był Sceną. Toteż jeśli były wśród jubileuszowych wzruszające wspomnienia, były niemi wspomnienia ówczesnych aktorów — wspomnienia ludzi, którzy się mylą, gdy do siebie biorą dedykację tamtej Historji, ale nie mylą się czując, że oni to — w dniach, gdy się na krakowskiej scenie inna rozstrzygała Tragiczna Historja — światu i duchowi wieku ich postać ukazali i piętno. A robili to jak mogli najlepiej. Nie wiem jak się dziś gra Wyspiańskiego ale wiem, że byle kto w Polsce uważa się za uprawnionego lekceważyć tradycję z której zdaje się wszędzie indziej ratowanoby co się jeszcze da uratować; nie wiem jak się dziś gra *Wyzwolenie* w Krakowie ale pamiętam, że wtedy zainscenizowane było tak, jak tego tylko dokonać mógł Autor i odegrane jak już może nie będzie.

Przy całej przekonywującej sile, jaka biła zewsząd z dramatu, przy całej organiczności ułamkowej pozornie konstrukcji aktu drugiego — czy widział kto kiedy udramatyzowaną samą funkcję myślenia? — nie zdaje się by jakakolwiek publiczność nie znając dokładnie tekstu, wytrzymać mogła akt rozmów z maskami (pamiętam jak na nim zasypiał Z. Wasilewski, który dopiero po lekturze miał się do niego przekonać), żeby go mogła wytrzymać bez gry znakomitego aktora. Choć znakomitością nie był, ś. p. Mielewski odegrał ten akt w ten sposób, że mogło się gubić wątek rozumowania, nie gubiło się ani na chwilę wyrazu i ani na chwilę nie załamywała się linja, po której szedł rozwój myśli. Cała rola — nie wiem, o ile przy pomocy Autora — opracowana była wybornie. Łatwiejsze zadanie miał Tarasiewicz we więcej deklamatorskiej i koturnowej roli Genjusza i wywiązał się z niej równie starannie. Że tu — scenicznie choćby — wszystko było nowe, to tym aktorom równie mało na myśl przychodziło jak to, że to wyzwolenie tem najpierw być miało, o którem się nikomu nie śniło: wyzwoleniem z więzów Polski - Konrada, ale oni wszyscy tak jeszcze oporni wobec *Wesela*, *ils avaient leurs rôles dans la peau* i wszyscy — Wysocka jako Muza, Sobiesław jako Karmazyn, Jednowski jako Samotnik, Mrozowska jako skamandrowa Harfiarka i t. d. — grali bardzo dobrze. Pojawienie się Genjusza, scena modlitwy przed choinką, spór nad otwartym grobem, widocznie robiły wrażenie na publiczności. Ale ukazanie — po raz pierwszy zdaje się w dziejach teatru — rzeczywistej sceny pustej, wydawało się tylko dziwaczne: w ciągu drugiego aktu, który wielu znużył, wyszło kilka osób a przy pościgu Erynji w finale, tu i owdzie odezwały się śmiechy. Sztuka podobała się mniej niż *Wesele*, ale autora oklaskiwano gorąco. Nie pojawił się znowu, jak po *Weselu*. Podobnoś dotąd nie wyszedł z teatru.

Więzy z rąk Konrada opadły i ustroiła się scena. Jechaliśmy już wtedy na to przedstawienie ze Lwowa, z Ortwinem i Staffem. Echo wstrząśnienia, jakiego doznaliśmy już przy czytaniu dramatu, znaleźć można w artykule Ortwina. Nie wiem, co w nim samym z tego zostało. W trzecim towarzyszu, sądząc po jubileuszowej przemowie, zostało to co wyśpiewuje Harfiarka.

*

Dzieło, mówi Tragiczna Historja, to coś o czem nic już więcej powiedzieć nie trzeba a co zjawieniem się swojem rozwiązuje wszystkie języki. „Jak *Wesele* tak i *Wyzwolenie*, czytać można było w „Czasie", wywołało żywy ruch umysłów w Krakowie. Dziś w trzy tygodnie po „premjerze"[2]), ruch ten trwa, obejmując najróżniejsze koła i warstwy towarzyskie. Przynosi to zaszczyt autorowi dramatu, ale i Krakowowi. *C'est l'Affaire;* dzieli mieszkańców starej jagiellońskiej stolicy na dwa obozy: w jednym gniewający się na poetę, że „łamigłówek" jego rozwiązać nie mogą i ci którzy ich już rozwiązywać nie próbują — w drugim odczuwający głęboko piękność dzieła, porwani nią" i t. d. „Sztukę wogóle — pisze w trzydzieści lat później w tymże „Czasie" prof. Estreicher — a tem samem sztukę swoją, pojmował Wyspiański jako identyczną z odtwarzaniem prawdy; ale nie tej prawdy powierzchownej, realistycznej, konwencjonalnej, tylko prawdy leżącej głęboko we wnętrzu rzeczy; prawdy zakrytej dla oczu rozsądnych i trzeźwych, a widzialnej dla artysty". I prof. Estreicher, który sam sztukę pojmuje nieco inaczej, bo jako wytwarzanie nikogo do niczego nie obowiązujących „artystycznych wartości" — nawołuje do zajmowania się autorem *Wesela* jako już tylko nieaktualnym „artystą". Gdy to piszą t. zw. najbliżsi i piszą dzisiaj, gdy się Dziejów Księga — „*Narodzie, wróżę, zmartwychwstaniesz*" — nad narodem rozwarła a ci co wznieśli scenę, tylko znaku czekają by dekorację rozebrać — można sobie wyobrazić, ile Kraków lat tamtych, ile Polska ówczesna pojęła z „hipokryzji" *Wyzwolenia*.

Wesele, o którem się dziś mówi, że znaczy tyle, że aż nie znaczy nic zgoła, w istocie tak mało jest wieloznaczne, że zawsze znaczyło to samo: niepodległość cudem zostanie wam zwrócona, uważajcie żeby jej znowu nie wzięli djabli. Ponieważ dramat zarazem osoby szopki jako kukły ukazywał w rękach mocy piekielnych, odpowiedź ze strony żywych — jeśli byli żywi — mogła być tylko ta jedna: przerwanie dalszych przedstawień. „Prawdę rzekłem!!!" woła Konrad, gdy rozebrano dekorację. Publiczność — przyszli aktorzy co dopiero odegranej „komedji" — odpowiedziała oklaskami i wzięciem prawdy za literaturę. Ten motyw obok wielu innych — motyw przyjęcia, jakiego doznało *Wesele* — rozwija *Wyzwolenie*. To było wtedy w Polsce do myślenia i to — o ile pamiętam, bo jego artykułu z „Krytyki" już nie posiadam — jeden Ortwin zrozumiał. (Jeśli mowa z racji Wyspiańskiego o krytykach - żydach, mówić tylko można o Lacku i o nim, mniej bez porównania głębokim ale bliższym aktualności — ówczesnej. Świadectwo „dobrej woli i entuzjazmu", które W—i wystawił Feldmanowi, mówi o tym ostatnim wszystko, co o nim było do powiedzenia. Poza Ortwinem i Lackiem, który mistrzowsko znów sprawę ujął w ogólnym abstrakcyjnym zarysie[3]), inni współcześni w problemie wyzwolenia Polski z niewoli a ludzkości z pod władzy Przeznaczenia, przeważnie dostrzegli plotkę: atak na Mickiewicza. W ten sposób znalazła się przynajmniej literacka sensacja — i dymy stąd poszły na całą literaturę.

(C. d. n.) *Adam Ł. Cybulski.*

---

[1]) M. Szukiewicz: Z pobliża teatru (z powodu wznowienia Wesela-; Głos Narodu, 1927, n-ry 309 i 310.

[2]) Odbyła się dn. 28 lutego 1903. Wydanie książkowe pojawiło się już w styczniu; drugie — ze skreśleniem końcowego dośpiewu — wyszło w lutym 1906.

[3]) Pisywał wtedy w „Nowem Słowie", mało rozpowszechnionym miesięczniku wydawanym przez M. Turzymę.

Parę słów w kwestji „wielkości" form w Nowej Sztuce

WSTĘP

Dwóch ludzi, zajmujących się pracą artystyczną, a przytem dość nieznanych i rozprawiających o „wielkości", może wyglądać śmiesznie, szczególniej dla tych, którzy zestawiać będą teoretyczne wyniki ich rozmowy z ich utworami i z nieuznaniem tychże. To trudno — jeśli bylejacy panowie mogą pisać o „takich rzeczach", to chyba tembardziej my ze Sturem. Stur nie mógł z różnych powodów przerobić listu na artykuł. Odpowiadam mu artykułem *).

URYWEK Z LISTU JANA STURA

...Znacie pewnie historyczną plotkę o Talmie, u którego Napoleon rzekomo uczył się gestów. Otóż wyobrażam sobie taką właśnie scenę: Talma pokazuje Bonapartemu gest pokory, przyjaźni, dobroduszności etc. i — wielkości. A wszystko na przyjętą zdawna modłę: odpowiednie fałdy i z namaszczeniem podniesiona ręka. Napoleon zachwycony: świetnie, wyśmienicie — on także tak potrafi. „Bo tak, jak ciebie, mnie uczyło życie". A potem, a raczej „ale potem": „ale cóż Talma? Pomyśl, co to będzie, gdy nagle wesz mi na brzuchu usiędzie, a ja dłoń włożę pod mą kamizelkę i gestem swoim stanę się tak wielki. Ach, Talma! Wielkość! Popatrz: moje szelki! I jeśli dłonie skrzyżuję przez chwilkę na mym grubym tyłku? I jeśli wielkość w tem będzie — co wtedy? Odejdź — już nie graj. Twój teatr dziś kona. Albo! graj, Talma — graj Napoleona". Comprenez vous?

Od tego czasu włożenie ręki za pazuchę jest powtarzaniem monumentalnego gestu, który był wykładnikiem, wyrazem monumentalnego człowieka. Od tego czasu *dopiero*. To znaczy rodzi się coraz to *nowa*, odmienna od poprzednich wielkość. Kto małpuje poprzednie, nie stworzy jej. Przeto tak trudno o jej definicję. W każdym razie — tak wydaje mi się — wielkością jest *zajęcie stanowiska* (odpowiednio intenzywne, czynne w dziełach historji, filozofji, nauki, lub sztuki) *do tego, co nas otacza*. Pan Napoleon nie „cierpiał" pod rewolucją francuską, ani na nią nie utyskiwał, ale określił jasno (sobie pocichutku) swój stosunek do niej, swoje pro i contra i z tego stosunku wysnuł swe czyny historyczne.

Prawdopodobnie określone stanowisko miał do wszystkich problemów, otaczających człowieka: życia i śmierci, potęgi, zła, dobra, kobiety, papieża (kościoła), Boga etc. etc. Wedle tego stanowiska i wychodząc zeń, poza nie — poza statykę, *działał*. Być może, że ponad pewnemi problemami *przechodził* do porządku dziennego, że odrzucał je, *nie rozwiązywał* ich, ale to nierozwiązywanie było też poniekąd ich rozwiązaniem: on przechodził nad niemi, nie grzązł w nich.

Otóż w Sztuce (specjalnie jasno) *w treści* dzieł Sztuki, odzwierciedla się możliwość tylko dwóch stanowisk zdecydowanych wobec wszelkich problemów: 1) tak, 2) nie. Apoteoza, lub bunt. Możliwe są wszelkie waryacye od apoteozy do negacyi, od negacyi do pobłażania. Ale zaznaczam: tu negacya Dżyngis - Chana, negacya Lucifera, bo inaczej nie będzie ona czynna, będzie bierna, będzie grzęźnięciem, będzie poniekąd — negacyą, sceptyzmem, „un je ne sais quoi", peut-être, uśmiechem niby mędrca, niby *kochającym*, a niby współczującym, a niby *pogardzającym* wszystkiem = Shaw = France. A więc nie będzie jednolita, nie będzie tam zdecydowania, a zatem brak rozmachu, gigantycznej pięści, lub kielni. Weźcie to, co było bardzo, bardzo wielkiego, symbole — postacie: Prometeja, Fausta, Don Juana, Boską Komedję, etc. Tam była *czynność*, znalezienie, lub szukanie, bunt, lub apoteoza (Konrad, Bazylissa i Nikefor, Aryaman z „Nietoty", etc.) Hamlet jest wielki, wskutek jednorazowego pokazania, że niezdecydowanie nie prowadzi do wielkości. I on wkońcu się decyduje, a przez cały czas mimo wszystko jest *czynny*, walczy psychicznie i praktycznie ze swoją niemocą i *z otoczeniem*, (udane szaleństwo, zamordowanie dworzanina). Hamlet nie jest takim niedojdą, za jakiego go ogólnie mają. A z Hamletem i Szekspir. Tam widać *stanowisko*. A z poza „Tumora" i nie tylko „Tumora" wygląda wasza bierność i niezaradność.

Główny wasz zarzut będzie: „to krytyka bebechowa. Mówi o „treści" dzieł, w której przebija się taki lub inny światopogląd twórcy. A o wielkości — dobroci — piękności dzieła Sztuki decyduje przecie *forma*". Zgoda. Ale jestem tego zdania, że Beethoven tworzył tak, a tak, po beethoveńsku. (formalnie) ponieważ był takiego, a takiego wzrostu, miał taki nos, takie uczucia i takie myśli. A Mozart tworzył po mozartowsku, bo był Mozartem. Światopogląd jest jedną cząstką tego bycia Mozartem, lub Beethovenem. Człowiek, który ma dany światopogląd, będzie tworzył w pewnej tylko formie, tak jak człowiek, który ma dany temperament, dany sposób odczuwania i daną „fizjologję". Pokaż mi człowieka, lub pewne jego składniki (światopogląd, uczucie, fizyologję) a ja zależnie od *wagi* danego składnika, określę ci, mniej lub bardziej trafnie, w jakiej formie on tworzyć będzie. Otóż sądzę, że światopogląd to składnik *wielkiej wagi*. Zresztą przypominam naszą rozmowę, w której powiedziałem, że Wasze pojęcie formy należałoby rozszerzyć; że tragedyjność, lub komedyjność utworu, patos, lub sarkazm — to już *forma*, i ta część łączy się bardzo silnie z treścią, a przez nią z światopoglądem. Czy wyobrażacie sobie Micińskiego i jego treść — światopogląd — we formie shawowskiej, lub naodwrót? A jeśli o tę stronę formalną chodzi, to dzieło będzie tem większe, im *forma* jego będzie *czystsza* w pojęciu następującem: *albo* komedyjna, *albo* tragedyjna etc. etc. A jeśli będzie w dziele splot (Szekspir, patos Fausta i ironia Mefista) dwóch, trzech, lub więcej rodzajów formy to winny różne jej rodzaje następować po sobie, lub płynąć obok siebie, *wyraźnie* odgraniczone, nie mieszając się ze sobą w „un je ne sais quoi". Więc: albo różne postacie, (król Lir i błazny, Faust i Mefisto) albo też różne sceny, momenty, w których n. p. bohater poetyczny staje się ironiczny etc. (Faust). Ale musi być wyraźne odgraniczenie: momenty obszerne, długie i niezbyt częsta ich plecionka. Pozatem *konieczna* jest przewaga jednego z elementów, nadająca *charakter* całości. Dzieło winno mieć *napiecie kierunkowe:* W kierunku tragedyi, lub komedyi. Tertium non datur. Jakże bezpłciowe są tak zwane „sztuki". Musi być pewna *jednolitość* formy, pewien styl. Ewentualnie pewna *kompozycya* dwóch, czy więcej rodzajów formy, a nie niezaradna mięszanina, pêle — mêle, będące w związku z niezaradnością twórcy wobec otaczających go problemów, z brakiem czynnego wobec nich stanowiska, niedokończonego, niedojrzałego do pewnej całości światopoglądu, który *nie umie wyciągnąć* ze siebie żadnych konsekwencyi, ergo nie wie czy ma się objawić formalnie tragedyjnie, czy komedyjnie, patetycznie, czy satyrycznie.

Komedya już sama w sobie — jak rzekłem — jest często „un peut-être", a nie wyraźnem „oui", lub „non", jest wymiganiem się ucznia, który nie chce odpowiedzieć na pytanie, uśmiecha się, klepie po ramieniu i ucieka — komedya *mówiąca o* życiu (Shaw), nie *komedya—bajka Szekspira*, apoteozująca życie, a cóż dopiero mięszanina tej komedyi ze smutkiem tragicznym. Wyobraźcie człowieka, który chce płakać i śmiać się *w tej samej chwili*. Nie zdoła nic z tego uczynić; zmieni twarz w pokraczny grymas. Nazywa się zaś Tumor Mózgowicz. I dlatego napisałem swojego czasu: „Tumor nie jest ani tragedyą, ani komedyą". Czem? Nie wiem? Formalnie biorąc, a treściowo wygląda z tej formy i z jej *zawartości bebechowej* niezaradność bohatera i autora, którzy nie wiedzą co czynić ze światem dookolnym, którym on się nie podoba, a którego są bierną cząstką zarazem. Witkacemu jest źle, Witkacy cierpi; ale nie: on pogardza, ale nie: on się śmieje, ale nie: on idyocieje (flaczeje), ale nie: on wali po łbie. I wszystko odrazu! To tak, jak gdyby za „pępek metafizyczny" rwały siły (napięcia kierunkowe) rozbieżne, odśrodkowe, ciągle coraz to inne i jeszcze inne, w różne strony. 1) Nie ma *ramy*, zamykającej obraz, obraz się rozłazi, 2) pępek metafizyczny się rozrywa — nie ma wrażenia. Bo wrażenie metafizyczne wywołuje w nas przedewszystkiem forma i jej napięcie kierunkowe, idące silnie w pewnym kierunku. Prócz kompozycyi całości: *patos*, lub *pogoda*, (Szekspira komedye) lub ironia.

Zrozumcie: *dźwięk* patosu, wiersza, słów — jest inny od dźwięku *pogody* etc. I ta część formalna działa. A jeśli to *napięcie*, które winno być coraz większe, aż dojdzie do *kulminacyjnego* punktu *chwycenia* nas za pępek metafizyczny, nie rozwija się, bo je zabija inne napięcie kierunkowe, w tej samej sile i ciągłości trwania? To cóż? Wrażenia nie ma? Jest w tem coś podobnego do brudnych barw i zamazanych konturów.

Niema wrażenia czysto formalnego — metafizycznego bez przymieszki bebechowej. Ale sądzę, że te bebechowe rzeczy (w odpowiedniej proporcyi) raczej pomagają, aniżeli przeszkadzają. Jeżeli w formie patetycznej n. p. jest treść bebechowo-patetyczna (n. p. miłość, ojczyzna, religja), to te składniki bebechowe służą jako *odskocznia* w czyste regjony formalno — metafizyczne. Tak aeroplan *odbija* się od ziemi, pędząc zrazu po niej, by wzlecieć w powietrze. I tak przeto nie tylko *forma*, ale i *treść* winna mieć jednolity charakter, rozpędowo — czynny, w jeden napięty kierunek. Inaczej bebechy przeszkadzają formie, zamiast jej pomagać. Bo zapał bebechowy unosi; smutek, ironja też wprawiają w pewną lotność — ale jak *treść* będzie problematyczna smutno - wesoło - ironiczno - patetyczna, to w słuchaczu-widzu zacznie się kłótnia i do rozpędu nie dojdzie. Ponieważ jednak — jak rzekłem — forma jest w ścisłym związku genetycznym ze światopoglądem, więc gdzie nieczyste bebechy, tam nieczysta forma. Waszych terminów używam dla moich pojęć. Wy mówicie: Czysta Forma, a ja czystość formy. To samo z napięciem kierunkowem. Traktujcie to jako substrat do dyskusyi, a nie jako skrystalizowaną alfę i omegę.

Kto wie jednak czy bierność non plus ultra nie jest lepsza od czynności „ledwo co". Odnosi się to jednak raczej do „Tumora" i „Pragmatystów". Nie czytałem jeszcze zakończenia „N. Wyzwolenia", ale część I pokazuje już tendencyę ku farsie. Kobietki i Florestan mogliby gadać u Flérs'a i Caillavet'a. Wolę już Wasze mięszaniny stylów, aniżeli ten ton bardziej czysto — i płytko—farsowy, nawet w stosunku do króla Ryszarda.

List jako forma literacka — nie gawędziarstwo tej, lub tamtej pani francuskiej za Ludwika, ma swoje zalety, obok wad. Wadą jest brak ścisłości, zaletą większa bezpośredniość, żywość etc.

---

*) Zanim ogłosiłem ten list i odpowiedź, Jan Stur niestety umarł. Uważam to za wielką stratę dla polskiej literatury, ponieważ sądząc z Jego prac, można było przypuszczać niezmiernie wartościowy dalszy jego rozwój. Osobiście straciłem w nim cennego wroga i przyjaciela.

(C. d. n.) *S. I. Witkiewicz.*

Numer mickiewiczowski „Kameny"

10-ty numer „Kameny" poświęcony jest wcałości Mickiewiczowi. Zawiera m. in. artykuł polemiczny J. N. Millera p. t. „O nowe śluby" z „Panem Tadeuszem", skierowany swem ostrzem przeciwko prof. Pigoniowi i jego książce „Pan Tadeusz. Wzrost — wielkość — sława", Sergjusza Kułakowskiego „Dzieła Adama Mickiewicza w przekładach na język rosyjski". Stanisława Mecziara „Literatura czeska i słowacka wobec Mickiewicza" Józefa Mondscheina „Na marginesie książki „Adam Mickiewicz et la pensée française", oraz „Mickiewicz w Danji", wiersze o Mickiewiczu Józefa Łobodowskiego, Kazimierza A. Jaworskiego, Antoniego Madeja, Józefa Mondscheina, Zdzisława Popowskiego, Wacława Iwaniuka, Czesława Morawskiego i Wiktora Matyszczuka, przekłady utworów Mickiewicza na język rosyjski i słowacki (bardzo ciekawy przekład fragmentu ks. IV-tej „Pana Tadeusza", zaczynającego się od słów „Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział", — dokonany przez St. Mecziara, wreszcie „Spojrzenie wstecz", artykuł redakcyjny, zawierający refleksje o pierwszym roku istnienia „Kameny"; niezrażona trudnościami materjalnemi i obojętnością obywateli Chełmu, którzy tak jakby nie wiedzieli o posiadaniu przez ich miasto cenionego ogólnie wśród młodej literatury polskiej pisma poetyckiego, redakcja sympatycznej „Kameny" zapowiada kontynuowanie wydawnictwa. (Ze swej strony możemy tylko zachęcić „Kamenę" do wytrwania, jako, że nie ona jedna boryka się zwycięsko z powyższemi trudnościami; „Zet" również nie otrzymuje żadnych subsydjów i jest pismem deficytowem, a mimoto ukazuje się już kilka lat i nie ma zamiaru upaść — *Przyp. red. Zetu).*

Krytyka rozumu twórczego (5)

Ale fakt doświadczenia estetycznego, będący rezultatem współdziałania czterech powyżej określonych władz postaciowania (rozsądku, zmysłowości, wyobraźni wytwórczej i odtwórczej), postuluje jeszcze istnienie — w łonie aktu poznawania estetycznego — władz pośrednich, wprowadzających do tych indywidualnych wytworów postaciowania powszechność wiedzy. Są one narzędziami czystego podmiotu samowiedzy, mającemi usprawnić tamte cztery władze, i zasymilować je niejako do celów absolutnych tego podmiotu, t. j. do problematycznego maksimum ekstenzywności logicznej, zawartego w ideale Formy Czystej. Aby jednakowoż wniknąć w warunki genetyczne tych nowych władz, trzeba: 1) uświadomić sobie, że transcendentalna władza sądzenia nie wystarcza do tego celu, gdyż nie bierze ona bezpośredniego udziału w konstruowaniu faktów doświadczenia estetycznego, oceniając je tylko pod kątem idej transcendentnych Piękna i Ładu; 2) sięgnąć aż do tej podstawy aktu poznawania, która jest polem i warunkiem zarazem całego tego *systemu warunkowania spekulatywnego*, który jest obecnie przedmiotem naszych rozważań.

Otóż podstawą tą jest samoujmowanie się podmiotu (czynność pierwiastkowa wszelkiej spekulacji wogóle), a mianowicie skierowywanie *uwagi* podmiotu absolutnego na samego siebie, dla wydobycia zeń tego co w nim *jest*, aby następnie rozbudować to w formę. Jest oczywistem, że to co jest w podmiocie, uwarunkowane jest a priori przez Treść Czystą rozumu praktycznego, czyli przez jego stany intenzywności transcendentalnej, wynikłe z dążności ku przedmiotowi absolutnemu, z wytężenia ku temu co *być powinno;* dlatego to mówiliśmy na innem miejscu, że „problematem zawartym w samem jądrze aktu poznawania estetycznego jest w istocie nie co innego, jak sam akt woli estetycznej", któremu ten pierwszy ma nadać formę, wyraz (uczynić go przezroczystym, upostaciowanym w środowisku przestrzeni i czasu). Ale samoujmujący się podmiot, wyabstrahowany z całokształtu aktu twórczego, i stanowiący niejako osobny systemat *myśli*, poznawania (w przeciwstawieniu do systematu *woli*, działania), ignoruje ów wyższy układ odniesienia, nie wie o nim, będąc zatrudnionym wyłącznie uświadamianiem i wyobrażaniem tego, co w sobie jako *już istniejące* znajduje. To skierowanie uwagi na samego siebie jest w podmiocie *aktem wiedności*, wiedzenia, wspólnym warunkiem i podstawą dwu elementarnych władz nieodzownych do wszelkiego, jakiegokolwiek postaciowania, bo: 1) *samowiedzy*, czyli czystej możebności konstruowania i określania, oraz 2) *wyobrażenia*, czyli dołączania istotności, bytu, do samowiedzy (władze te omawialiśmy już obszernie w poprzednich rozdziałach). Na akcie wiedności — wspartym na swojej hypostazie, a mianowicie na potencjalności woli twórczej, — trzyma się tedy (jeśli wolno użyć tego wyrażenia) cała architektonika myśli, jej logizm ekstenzywny, wizja permanentna świata istniejącego, to co Wroński zwie autotezją, samozakładaniem się wiedzy w bycie. W samej rzeczy niezbędną jest uwaga, samopostrzeganie się podmiotu, jeżeli ma on być świadomym siebie, i zdolnym temsamem do wyobrażania sobie swych stanów zapomocą konstruowania dla nich formy. Sam rozum spekulatywny czysty („warunkujący" poznawania) jest niczem innem, jak urzeczywistnionem maksimum potencjalności twórczej wiedzy w łonie podstawowego dla całej architektoniki władz postaciujących, aktu wiedności.

Otóż, gdy sprawność techniczna podmiotu jest już tak daleko posunięta, że włada on samym tym aktem wiedności, samopostrzegania, jako narzędziem posłusznem w każdym momencie jego woli, potrafi on tembardziej zawładnąć świadomie owemi czterema władzami pochodnemi, zatrudnionemi w produkowaniu faktów doświadczenia estetycznego: zmysłowością, rozsądkiem, wyobraźnią reproduktywną i konstruktywną. Ustanawia on mianowicie dla każdej z tych władz cel wyższy, transcendentny do ich bezpośredniego użytku, problemat maksymalnej sprawności i doskonałości, jaką dana władza postaciująca winna osiągnąć. W ten sposób prócz samego, konkretnego faktu estetycznego, będącego przedmiotem obróbki owego zespołu władz pierwotnych, wchodzi tu w grę sam ów zespół funkcyjny, stający się niejako przedmiotem wyższego rzędu; wysiłek konstrukcyjny podmiotu skierowuje się tutaj na własne potencjalności twórcze, w ten sposób, że dzięki wydoskonaleniu aktu wiedności, w polu jego uwagi znajduje się ustawicznie nie tylko przedmiot postaciowany, ale i struktura intymna samych czynności postaciujących. Powstają tak wyższe układy wiedności, będące zarazem wyższemi, bardziej skomplikowanemi narzędziami formowania; różnica między niemi a władzami bezpośredniemi jest taka, jak n. p. między maszynami a naturalnemi uzdolnieniemi fizycznemi człowieka pracującego.

Te nowe władze - narzędzia, mają charakter problematów, celów stawianych sobie przez podmiot, dla osiągnięcia pełni wyrazu estetycznego jego istoty wnętrznej. Pierwsza z nich to *doskonałość estetyczna*, ideał największej możliwej sprawności podmiotu w produkowaniu oglądów zmysłowych, zdatnych, jako materjał (tworzywo) do procesu sztucznego postaciowania; idzie tu o giętkość i wrażliwość zmysłów, o bogactwo i wyrazistość przedstawień, o mnogość, różnorodność i harmonijną współzależność ich między sobą, o zdolność do samorzutnego, a celowego zapełniania ich wytworami autonomicznemi czasu i autonomicznej przestrzeni. Druga z tych władz to *doskonałość logiczna*, ideał największej możliwej sprawności w konstruowaniu pojęć, aktów myśli, w ich celowem współustosunkowaniu i zestroju: idzie tu o pewność, jasność i wyrazistość tych pojęć, o jednię transcendentalną w funkcjach kategorjalnych czystego rozsądku, o nieomylność w ich stosowaniu, tak by ilość, jakość, stosunek wzajemny i związek przyczynowy elementów tworzonego dzieła, pozostawały w idealnej zgodności z zamiarem artysty, organizując wielość najekstenzywniejszą komplikacyj w jedność dynamiczną o spoistości i harmonijności zupełnej. Funkcje dwu dalszych władz są jeszcze bardziej skomplikowane. Wprowadzenie powszechności wiedzy do użycia zmysłów i rozsądku stwarzało prosty ideał doskonałości formalnej, narzucający się podmiotowi tworzącemu sam przez się; jak jednak wprowadzić powszechność do władzy produkowania obrazów, wyobraźni odtwórczej i do władzy konstruowania szematów, fantazji, wyobraźni wytwórczej? Otóż podmiot osiąga to przez zużytkowanie celowe tych wytworów poza sferą bezpośredniego doświadczenia estetycznego, dla upostaciowania z ich pomocą najintymniejszych aktów samowiedzy.

Jeżeli mianowicie używać będziemy produktów wyobraźni odtwórczej, *obrazów*, nie do samego odtwarzania przedmiotów świata istniejącego, co jest ich właściwem przeznaczeniem, lecz do unaocznienia, symbolizowania nieskończonej potęgi twórczej podmiotu, jego czystej samorzutności (ducha), powstanie wówczas dla wyobraźni problemat nowy, ideał jaknajdoskonalszej reprezentacji tej samorzutności podmiotu absolutnego. Obrazy wytwarzane przez nią znaczą wówczas zawsze coś więcej, niż sam przedmiot przez nie wyobrażony, są jakby podstawione pod znaczenia wyższe, transcendentne do sfery doświadczenia estetycznego. *Podstawienia* takie, znane jako podobieństwa (tropy), używane są najczęściej w poezji, w innych bowiem sztukach, nie opartych w tym stopniu na elemencie znaczeniowym, nie mogą one mieć tak obszernego zastosowania; są to przypowieści, porównania, metafory, allegorje, symbole, wogóle wszystkie utwory wyobraźni, które są figurami sensów głębszych, nadrzędnych, ukrytych. Taka czynność podstawiania ma swe źródło genetyczne: 1) w dążności do upostaciowania intymnych zjawów osobowości artysty, które w inny sposób nie dałyby się wyrazić, a nawet przedostać ze sfery podświadomości (Tajemnicy Istnienia) w pole samowiedzy, 2) w ustawicznym wysiłku skierowywania uwagi — poprzez przedmioty podstawione — na problematyczny świat transcendencji czystej, wysiłku, który przeistacza się wreszcie w trwałe funkcjonującą władzę psychiczną, 3) w chęci zaktualizowania w sobie maksymalnej samorzutności twórczej, przez technikę celowego władania spontanicznemi rzutami wyobraźni reproduktywnej. Zasadą regulatywną tej władzy jest *prawo kojarzenia obrazów* (t. zw. prawo asocjacji psychologicznej), podporządkowujące nieskończoną mnogość oglądów zmysłowych tendencji naczelnej podmiotu do jedności absolutnej jego osobowości. W rozmaitości klas estetycznych wszystkich tych podobieństw, allegoryj i symbolów da się odnaleźć pewna hierarchja ich nośności transcendentnej, przyczem najwyższą nośność i najwyższy walor dla podmiotu tworzącego mają te podstawienia poetyckie, które zdolne są usymbolizować sam ideał Formy Czystej (Człowiek tworzący świat na podobieństwo Boga), za pośrednictwem przedstawienia maksimum samorzutności twórczej, *ducha* (Treści Czystej), którą zaktualizować jest przeznaczeniem całej architektoniki władz postaciujących podmiotu tworzącego.

Jeżeli teraz podmiot skieruje uwagę na władzę wytwarzania *szematów*, czyli pojęć ukazujących się w polu samowiedzy odrazu pod postacią oglądów zmysłowych (wyobraźnię wytwórczą), powstanie dlań problemat jak najsprawniejszego zużytkowania tej władzy dla dorównanej ekshibicji, *ekspresji* swego Ja, w celu zakomunikowania swych stanów duchowych innym istotom rozumnym. O ile władza upodobniania, podstawiania, była aktem wiedności zorjentowanym ku wnętrzu osobowości artysty, ku samopoznaniu się przez symboliczne wyłuskanie z siebie swych najintymniejszych stanów i tendencyj psychicznych, o tyle ta nowa funkcja postaciująca jest aktem wiedności zorjentowanym na zewnątrz, ku wyjawieniu jaknajdoskonalej adekwatnemu swych napięć duchowych, swej znajdującej się już w polu samowiedzy Treści psychicznej. Artysta posługuje się tu — w celu zakomunikowania swych przeżyć estetycznych — całą techniką szematyzacji pojęć i idej, której tajnikami usiłuje zawładnąć, aby osiągnąć maksimum wyrazu, ekspresji, znaleźć indywidualny język artystyczny, zrozumiały dla innych, ale ujawniający zarazem jedyność, odrębność, niepowtarzalność jego Ja. Tu oto źródło dążenia do oryginalności, pogoni za najwyszukańszemi sposobami ekspresji, eksceytowania swej pomysłowości i wynalazczości stwórczej. Zasadą regulatywną tej ekshibicji estetycznej jest znowuż *prawo szematyzacji idej*, narzędzie aktualizowania i ukazywania in concreto samej niewyrażalnej, transcendentnej jedni osobowości twórcy (w jakimbądź stopniu jej intenzywności), zapomocą rozbijania idei, całostki myślnej, na mnóstwo uwspółzależnionych elementów tworzonego dzieła, t. j. zapomocą tworzenia układów finalistycznie uwarunkowanych, mających swój warunek poza sobą, w samym twórcy i suggerujących jego przeżycie artystyczne, poprzez dzieło. Ideał tej ekspresji stanowi oczywiście znowuż problemat transcendentny wyrażenia przez podmiot absolutny (Człowiek) zupełnego ogółu możliwości twórczych (Bóg) w zupełnym szeregu organicznie powiązanych warunków (Świat), czyli w systemacie Formy Czystej.

Osiągnąć pełnię sprawności wszystkich tych władz - narzędzi, oraz umiejętności ich celowego, równoczesnego użycia, tak by uzupełniały się i wspomagały nawzajem w celu samopoznania się i wypowiedzenia podmiotu w jego wnętrznej potencjalności twórczej (pod kątem ideału najwyższego Formy Czystej), oto nowy problemat podmiotu absolutnego, w jego dążności do doskonalego uekstenzywnienia jego istoty własnej. Prawo równoległości tych władz i harmonijności celowej ich funkcyj odrębnych stanowi *kanon genetyczny**), czyli prawidło następczego i współrzędnego ich powstawania w podmiocie, w zgodności i wzajemności absolutnej; czuwa on nad tem, by żadna z nich nie wybujała ponad inne, i aby służyła posłusznie najwyższym celom, tym które suggeruje podmiotowi, zajętemu bezpośrednim procesem wytwórczym, transcendentalna władza sądzenia. Przez permanentne skierowanie uwagi na tę zgodność i organiczność rozwoju (i działania) czterech władz narzędnych, jak również 4-ch władz pierwodanych, poddanych celom wyższego rzędu, podmiot wytwarza w sobie nową potencję, nową władzę. Jest nią *metoda*, czyli zgodność wnętrzna postępowania poznawczego z intymną strukturą tego, co ma być przeczeń poznane. W danym wypadku idzie o samopoznanie się podmiotu absolutnego w jego potędze genetycznej, czyli stwórczej; otóż umiejętność świadomego i celowego władania całokształtem narzędzi postaciowania, dołączającym byt, istnienie do samowiedzy artysty, jest właśnie świadectwem jego potęgi genetycznej, którą w sobie tym sposobem rozpoznaje bez reszty, jako zdolną do urzeczywistnienia transcendentnego ideału Formy Czystej. Widzimy więc, że akt poznawania estetycznego zamyka się sam w sobie, podporządkowując wszystkie swe funkcje względne, służące do wypowiedzenia własnej istoty w architektonicznie rozbudowanym systemacie ekstensywności logicznej, swej problematyce niewarunkowej: wiedzy samozakładającej się w bycie, czyli temu, *co istnieje przez się* (= absolut). Dla uzupełnienia dodać tu trzeba, że sama ta kardynalna funkcja poznawania, odbywająca się w łonie tego aktu, rozpatrywana oddzielnie, ustanawia osobną władzę podmiotu, a mianowicie jego *samowiedzę czynną*. Ja logiczne; jest to samowiedza podmiotu absolutnego aktualizująca się w wyobrażonem, i poznająca się w ten sposób w swym bycie, w swej istotności, którą dołącza — zapomocą oglądania swej potęgi twórczej w procesie wytwórczym — do czystej swej możebności konstruowania i określania.

Łatwo jednak pojąć, że w akcie poznawania estetycznego uczestniczą jeszcze dwie władze, które należą wprawdzie do sfery ekstenzywności logicznej, a więc do zespołu potencjalności rozumu spekulatywnego, ale granicą już ze sferami innemi, a mianowicie z potencjalnościami rozumu praktycznego (akt woli estetycznej, intenzywność transcendentalna) i rozumu teleologicznego (akt oceny bezwzględnej, pod kątem celu absolutnego: przemiany koniecznego aktu tworzenia w czysty i wolny akt stwarzania). Pierwsza z nich, będąca ogniwem łączącem rozum spekulatywny z praktycznym, jest samą potencjalnością twórczą podmiotu, wprawdzie à priori w nim daną, ale wspartą na akcie woli, na motorze ustawicznej czynności, a więc pośrednio już i na wytężeniu jaźni ku temu *co być powinno*. Jest to ta władza, która sprawia, że podmiot nie tylko wie sam siebie i zna wszystkie swoje sposoby postaciowania, nietylko je *myśli*, ale i *chce*, i *umie* się niemi posługiwać, potrafi wprawiać w ruch cały ten zespół czynności wytwórczych, jest zdolny do wykonania in concreto tego czem in abstracto włada. Tą siłą wykonawczą, niezbędną do przejścia od możliwości do istotności przedmiotu wytwarzanego, od powszechnego do indywidualnego, tą techniką realizacji praktycznej pomysłu spekulatywnego jest *genjusz*, potęga genetyczna czynna, mieszcząca w sobie imperatyw kategoryczny kreacji, *prawa tworzenia*, i stosująca samorzutnie jego kościec architektoniczny do swych wytworów. Dlatego dzieła genjuszu są — jak mówił Kant — wzorowe („egzemplarisch"), odznaczają się wzniosłą koniecznością ustroju, użyciem środków jedynie właściwych do swego celu. Istotę tego fenomenu poznamy bliżej w rozdziale o genetyce procesu twórczego. Tutaj dodamy tylko, że skierowanie tej spontanicznej potencjalności podmiotu ku jego poszukiwanej podmiotowości absolutnej, ku temu czego niema, a być powinno, jest już równoznacznie z użyciem *woli*, choćby nawet *jaźń* artysty nie była jeszcze w pełni świadomą tej powinności i tego celu. Tak więc genjusz, złączony z aktem woli estetycznej, stanowi już przejście do wyższego układu intenzywności transcendentalnej (rozumu praktycznego).

Jeszcze bardziej zagadkową władzą podmiotu spekulatywnego jest *uczucie*, które z jednej strony jest tylko samoujmowaniem się podmiotu w jego przedmiotowości względnej („Ja empiryczne"), w sferze doświadczenia wewnętrznego, z drugiej strony jednak sięga aż do pojemności absolutnej na Tajemnicę Istnienia i na problemat transcendentny przemiany konieczności w wolność, t. j. aktu twórczego w akt stwarzania. Typ pierwszy jest rezultatem intymnego współżycia naszej jaźni czystej ze zmysłem wewnętrznym („osobnikiem typu zwierzęcego"), z ciągłością psychiczną przeżyć w czasie, t. j. z kolejnością stanów, powstających naskutek biernej receptywności podmiotu, wchłaniającej w siebie oglądy i zjawiska zewnętrzne (wpływ wybrażeń do samowiedzy), i w ten sposób samoujmującej się w istnieniu. Typ drugi jest już zjawem uczuciowym nieskończoności absolutnej ustosunkowania podmiotu i przedmiotu czystego, czyli rozumu twórczego i dzieła tworzonego, prostem, nierozkładalnem uczuciem tajemniczego fenomenu życia, a nawet wzniosłego poczucia wolności, powstającego z użycia przez podmiot absolutny samej swej rdzennej istoty metafizycznej (dążności ku absolutowi) jako narzędzia świadomej czynności konstruktywnej. Ten typ uczucia świadczy, że władza ta jest ogniwem, łączącem pośrednio rozum spekulatywny z rozumem teleologicznym, źródłem sądów o Pięknie, Wzniosłości i Ładzie, oraz czystej wynalazczości celów i środków postaciowania; byłoby to więc uczucie radości z tego *co jest tak jak być powinno*, uczucie bezinteresownego podobania się, wartościowanie absolutne.

Jerzy Braun.

---

*) W terminologji Hoene - Wrońskiego.

ANTONI MADEJ

Z cyklu: „Kształty"

To twoje były pewno gwiazdy.
Widziałem je po północnej stronie.

Pielgrzymek się nie lękam,
a jednak wszyscy, gdy o tem myślą,
patrzą ponad wzgórza męki.

Tak kroczyłem.
W gajach pieśń wesołą wieszała wilga.

A dziś
na grobli wąziutkiej stoję —
z prawej i lewej strony
zwierciadła głębin.

Gwiazdy na dnie.
Gwiazdy — skrzyżowane dłonie.

Rozwiesza się zmierzch.
Barjery cienia odgradzają dzień.
Tu zawsze przychodzę.

Z pól znosi wiatr cierpki zapach nasion.
Bywa zwodniczo.

Ucho na dźwięk nastawione
napełnia zmienność świata.

Wieczór jest poetą.
Zecerzy mroku
składają czcionki zachwycających powieści,
ale dopiero noc
dopisze najlepszy fragment
w drukarni nieba.

Omyłka Demiurga

2-gi zkolei, „grecki“ numer Demiurga, zawiera m. i. artykuły: „Zbrodnia stoików“, Włodz. Rostowita, „Pitagorejczycy“ Ant. Piotrowskiego, „Na widowni dziejów“ Bron. Miazgowskiego. „Chrystus i Antychryst“ S. Kułakowskiego i in. Redakcja Demiurga zapowiada też odpowiedź na nasze streszczenie też „demiurgicznego słowianizmu“, zaznaczając że „będzie to początkiem określenia stosunku demiurgicznego słowianizmu do filozofji absolutnej Hoene Wrońskiego“. Radzimy n. b. przed tem określeniem gruntowne zapoznanie się z najwyższemi zasadami metafizycznemi tej doktryny, przedewszystkiem z jej kanonem niewarunkowym: Prawem Stworzenia, by nie powstawały niepotrzebne nieporozumienia, których mozolne usuwanie byłoby zbyteczną stratą czasu.

Że istnieje obawa takich nieporozumień, stwierdzamy już teraz, gdyż redakcja Demiurga, zarzucając nam pominięcie (zbyt pobieżne streszczenie) centralnej dlań „filozofji państwa“, imputuje, że stało się to „dlatego, że państwo jest czemś drugorzędnem i wtórnem w obecnym przekroju historji w rozumieniu wrońskistów“. Gdy zestawimy to zdanie z artykułem „Zbrodnia stoików“ (a zestawienie to nasunie się każdemu, kto ma zwyczaj i zdolność czytania między wierszami), szczególnie ze znaczącem zdaniem końcowem: „Zbrodnia stoików nie jest ostatnia...“, domyślimy się z łatwością, jaką to zbrodnię inkryminować nam będzie redakcja Demiurga w swej anonsowanej zawczasu odpowiedzi. Ponieważ zaś nie lubimy zagmatwań, czyniących zawsze ujmę kombatantom *rozumu* (do których zarówno my, jak i ludzie z Demiurga, chcemy się zaliczać), i ponieważ obawiamy się, że strzał Demiurga mógłby ugodzić w próżnię, t. j. tam, gdzie nas niema wcale, uważamy za swój obowiązek ustrzec go od tego pudła, ukazując mu lojalnie cel właściwy.

Nie poświęciliśmy więcej miejsca demiurgicznej filozofji państwa, gdyż: 1) mieliśmy tego miejsca w danym numerze „Zetu“ wogóle b. niewiele, 2) Demiurg stwierdza, że ustrój państwa stanowi praktyczny wynik urzeczywistnionej doktryny“, najważniejszem więc jest w takim razie poznać sam system, gdyż inteligentny czytelnik z łatwością wywnioskuje zeń to, co dotyczy państwa, 3) trudno nazwać filozofją państwa tych kilka zdań o problematyce politycznej demiurgizmu, zamieszczonych w pierwszym numerze. Wogóle zachodzi między nami to zasadnicze nieporozumienie, że my nazywamy „filozofją“ zupełnie co innego niż redakcja Demiurga. Kilka symplicystycznych wypowiedzi na tematy polityczne, popartych ogólnikami w rodzaju: „rząd rozumu“, „demiurgiczna wola tworzenia“, w żaden sposób nie zasługuje jeszcze na miano filozofji państwa, aspirującej do objęcia spadku po całej cywilizacji chrześcijańskiej i wyrokującej z nazbyt pochopną śmiałością o potężnych, usystematyzowanych doktrynach. Rzecz miałaby się inaczej, gdyby Demiurg zrezygnował z uważania tych luźnych wypowiedzi za własną filozofję państwa i odwołał się w zupełności do Platona, wskazując, że jego podstaw metafizycznych szukać należy w platońskiej teorji państwa filozofów; mając bowiem za plecyma Platona, mógłby Demiurg dyskutować z nami pewniej i śmielej, i z większem prawem do sumiennego rozważania jego tez politycznych.

Ale i to nie byłoby dla nas przekonywującem w dostatecznej mierze, jesteśmy bowiem przeciwnikami eklektycznego, niedość umotywowanego sklejania epok tak różnorodnych, jak starożytność klasyczna i współczesność europejska. Dlaczego właśnie Platon, dlaczego rząd filozofów, to nie zostało w Demiurgu wyjaśnione (nie twierdzimy tu bynajmniej, że idea ta niema racji bytu w teraźniejszości, lecz tylko oczekujemy jej weryfikacji w świetle pełnego systemu). Jeżeli „grecka polis w filozofji platońskiej otrzymała najdoskonalsze sformułowanie“, to pozwalamy sobie zapytać, czy od owych czasów nie zaszło nic nowego w rzeczywistości politycznej (vide choćby: antynomja społeczna, której za czasów Platona nie było wcale!) i czy wolno konstrukcje platońskie dogmatycznie wcielać w organizm nowożytnej ludzkości? My nie jesteśmy „grecką polis“; nie będzie nią tembardziej przyszłe imperjum słowiańskie, powołane do rozwiązania problemów, które wówczas nie mogły jeszcze nawet być dostrzeżone.

Ponieważ przypuszczamy, że Demiurg zechce nas zestawiać ze „zbrodniczymi stoikami“, stwierdzamy „profilaktycznie“ zawczasu, że nic nie jest nam chyba tak straszliwie obce, jak program stoików, tak fascynująco przez W. Rostowita zreferowany. Podstawowa dla doktryny Wrońskiego heterogeniczność bytu i wiedzy *), rozróżnienie kosmosu fizycznego i moralnego, ordo immanens i ordo transcendens, świata chrematycznego i rzeczywistości achrematycznej, kazałyby nam zaprotestować jaknajenergiczniej przeciwko pomysłom takim jak „metafizyczno-racjonalistyczny naturalizm“, schłonięcie człowieka w naturze, homogeniczne i deterministyczne pojmowanie świata, bierne spektatorstwo „poznające i naśladujące naturę“ i t. p. „les Idées fausses“ stoików. Jeszcze potworniej brzmi dla nas zdańko: „Nie wychodź poza granice istniejącego“, dla nas, którzy głosimy wyjście z gotowego, zastanego, istniejącego, ku *rzeczywistości stwarzanej;* albo też zdańko: „wszystko co ludzkie — jest dymem i niczem“ nam którzy niesiemy światu ideę samostworzenia się człowieka i ludzkości. Mówi W. Rostowit, że „stoicy zabili w człowieku twórcę, zniszczyli jego wolę tworzenia“. Otóż Hoene-Wroński zwie człowieka nowym stwórcą, każe mu stwarzać sobie samemu cele i urzeczywistniać je w historji. Jego metafizyka jest metafizyką wolności i tworzenia. Kosmizm i mesjanizm są to pojęcia idealnie przeciwstawne (patrz idee: genezy kosmicznej i genezy mesjanicznej (wolnej, moralnej, samostwórczej) w „Apodyktyce“.

Redakcja Demiurga myli się grubo, gdy sądzi, że państwo jest dla nas czemś wtórnem i drugorzędnem. Kontrargumentem jest tu już choćby to, że gros artykułów wstępnych Zetu poświęciliśmy zagadnieniom politycznym, zaś Wrońskiego teorja państwa była przez nas, w obszernym cyklu artykułów planowo wykładana. Nie będziemy tu powtarzali też podstawowych mesjanicznej filozofji państwa, odsyłamy więc tylko do wspomnianego cyklu artykułów, gdzie była mowa o źródle współczesnego kryzysu ustrojowego, o społeczeństwie i państwie, o istocie władzy, o elementach doskonałego ustroju, o czynniku koordynującym, a wreszcie o celu absolutnym państwa w związku z przeznaczeniami ostatecznemi ludzkości. Tam też znajdują się, obszerniej rozwinięte, idee: państwa ideokratycznego, rządów rozumu, i t. p., które ogólnikowo rzucone są i w Demiurgu. Państwo Wrońskiego jest państwem mesjanicznem, a więc ideokratycznem, bo adekwatnem z doktryną: różni się ono jednak od państwa demiurgicznego tem, że nie jest przypadkowem, infrahistorycznem, lecz *absolutnem*, w pełnem tego słowa znaczeniu, gdyż utożsamia się z samemi warunkami metafizycznemi państwa, jako takiego, z jego celowością samą w sobie. jako pełnego systemu rzeczywistości, związanego organicznie ze swojem prawem najwyższem i celem końcowym. Jest więc państwo mesjaniczne historyczną hypostazą *filozofji*, powszechności wiedzy, autonomji ludzkiego rozumu; nieporozumienie powstało niewątpliwie stąd, że doktryna Wrońskiego uwzględnia — obok państwa — drugie zrzeszenie moralne, kościół, hypostazę *religji*, indywidualności bytu, heteronomji człowieka wobec Boga. Heteronomja ta nie może być przezwyciężona inaczej, jak przez indywidualizację absolutną, przez *samostworzenie*, której dokonać może tylko samorzutność rozumu absolutnego. Samorzutność tę ma w nas rozwinąć filozofja, i państwo (jako jej narzędzie absolutne w dziejach); ale też z chwilą jej osiągnięcia przez ludzkość rola państwa jest dopełniona. Równocześnie, przez indywidualizację absolutną dopełnia się też i rola kościoła, toteż Wroński powołuje, jako ich syntezę, trzecie, ostateczne zrzeszenie: mesjaniczne, pod mianem Unji absolutnej, harmonizujące porządek przyrodzony z nadprzyrodzonym, ordo transcendens i ordo immanens, co symbolicznie antycypowała tradycyjna idea Królestwa Bożego na ziemi.

---

*) Tożsamość tych dwu heterogenicznych elementów rzeczywistości znachodzi Wroński dopiero w istocie wnętrznej absolutu, stąd wrońskizm jest wprawdzie w ideale monizmem, ale monizmem suprarzeczywistym i nawet supra-moralnym, shypostazowanym w zasadzie „Zet“, w substancjo-essencji Boga.

Wśród nowych książek

Encyklopedyczny obraz kultury francuskiej XX-go wieku daje 4 tomowa zbiorowa praca, którą wydaje Les Editions Denoel et Steele w Paryżu. Wielkie to dzieło nosi tytuł „Tableau du XX-e siècle (1900—1933). Ukazały się do tej pory dwa tomy. Pierwszy, opracowany przez Piotra du Colombier i Rolanda Manuela p. t. „Les Arts“, zajmuje się sztukami plastycznemi, muzyką i tańcem. Tom drugi p. t. „Les Sciences“, opracowany przez Piotra Sergescu, Jana Rostanda i Augusta Boutaric, zawiera obraz współczesnego stanu nauk ścisłych we Francji, dając pierwszeństwo matematyce (głównie Poincaré i Painlevé). Następne tomy zajmą się literaturą i zagadnieniami filozoficznemi.

Biografję Rafaela wydał we Wiedniu (Phaidon) Herman Grimm. Obszerną tą pracę, poprzedzoną wstępem prof. Watzolda zdobi 80 wspaniałych reprodukcyj.

Obszerny zbiór listów Rilkego (479 stron) wydali (w Lipsku) i komentarzami opatrzyli Ruth Sieber-Rilke i Carl Sieber. Zbiór nosi tytuł: „Briefe an seinen Verleger 1906 — 1926“ (Insel - Verlag).

Korespondencję Ryszarda Straussa i Hugona von Hofmannsthal wydano w Wiedniu w obszernym tomie liczącym około 500 stron. Zbiór ten rzuca nader ciekawe światło na poglądy Straussa w dziedzinie sztuki.

Wpływom francuskim we Włoszech poświęcona jest monografja H. Bedaridy i P. Hazarda p .t. „L'influence française en Italie au dix-huitième siècle“. (des Belles Lettres — Paryż).

Książki i czasopisma

Kwart. (nr. 2) D. Giuliotti: Pouhy basnik (przekł. J. Brechensbauer); Fr. Halas: Stare ženy V. Obrtel: Renaissance; K. Schulz: Zrcadla; Fr. Hrubin: Hvezdo Zavistiva; J. Zahradniczek: Žalm; Jan Patoczka: Platon a popularisace; Przekłady: M. John Dee, Robert Desnos, Cl. Brentano, A. Herbin, Gotamo Buddha, Vantengerloo, Mythus Kmene Chabi, Juan de la Cruz, Paul Verlaine, Michel Leiris, Raoul Ponchon, Lao-Tse, Roger Vitrac, T. S. Eliot, Louis Bertrand, Conrad Aiken, Cyprjan Norwid (przekł. J. Janoucha) i in.

Jerzy Zawieyski: Daleko do rana. Powieść. Warszawa 1934. Nakl. Księgarni F. Hoesicka. Str. 174.

Józef Czechowicz: W błyskawicy. Poezje. Warszawa 1934. Nakł. mies. Droga. Str. 41.

Kamena (Nr. 9, maj 1934). Marjan Piechal: Wielkanoc; Juljan Przyboś: Na marginesie artykułu Czernika; K. A. Jaworski: Na marginesie "Pygmaliona“; Stanisław Piętak: Gorączka; Józef Mondschein: Francja; Józef Łobodowski: Norwid; Zenon Waśniewski: Żebrak; Sergjusz Kułakowski: Maksymiljan Wołoszin; Przekłady z poezji rosyjskiej; Francesko Langiullo: Złoty syfon; Aldo Palazzeschi: Ata mara atmara; Stanisław Czernik: Najazd, którego nie było; Józef N. Kłosowski: Książki najnowsze. Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego.

Weltbühne (r. III Nr. 21 (H. Budzislawski: Fascistische Internationale?; H. v. Gerlach: Revolutionstribunal; A. Rosenberg: Nationalismus bei Andern; J. Steinfeld: Thälmann und der Blutsonntag; E. Weinert: Berlin; W. Grimm: Wizekanzler Starhemberg; M. Scheer: Pariserkirchenkampf; H. Haefker: Standard Oil contra Paraguay.

Bunt Młodych (r. V Nr. 9) Trzy grosze publiczne: Ksawery Pruszyński: Dynaści z Łogunowicz. Jak Wieliczkowie w panów szli; Ankieta Buntu Młodych; A. M. Bocheński: Józef Piłsudski i Napoleon Bonaparte; I. Reissler: Cicha i głośna prawda sądownictwa (II); Jan Frankowski: W obronie zagrożonej własności; Fr. Czerwiński: Przegląd prasy.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (Nr. 21). Symon Petlura; J. Parandowski: Wspomnienie „Wielkiej Utraty“; Wł. P. Franko i Mickiewicz; F. Zahora: „Wielka Utrata“: Włodz. Kubijowicz: Rozmieszczenie Ukraińców w Azji; Kronika.

Biuletyn Polsko-Ukraiński (nr. 22) ideologja państwa narodowego; W. Kubijowicz: Rozmieszczenie Ukraińców w Azji: Wł. Pelc: Ukraińcy na Dalekim Wschodzie. Poglądy publicysty włoskiego na kwestje wschodnie.

Poezje

Włodzimierz Słobodnik. Pamięci matki. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Warszawa 1934. Str. 22.

Tomik składa się z kilku różnych wątków tematycznych. Trzy pierwsze wiersze, poświęcone pamięci matki, oznaczają dążenie do ludowej niemal prostoty wyrażeń, zaniechanie rymu lub celowe skupienie rymów najbardziej pospolitych. „Wieczorem, gdy umarli do nas powracają, gdy drzewa jeszcze wyżej niebo podrzucają“ — przypomina Kochanowskiego. Sonet o architekturze sprawia wrażenie uwiędłej wiązanki słów. Kilka wierszy dziecięcych — to rodzaj lenartowiczowski. „Ranek na stacji“ pełny miłego sentymentalizmu wobec rzeczy najpowszedniejszych („Ładują deski do wagonów, miła!“). Ciekawy, świeży temat widzimy w „Posiłku“: „bułkę czarną od węgla żuje węglarz jadący“. Wiersze kalendarzowe (wiosna, lato, jesień, zima) nie wnoszą nic nowego. Wiersz o „Poezji polskiej“ jest rymowanym skrótem historji literatury, przypomina poziomem i rodzajem Wincentego Pola. Oto przykład:

> A potem Morsztyn barokowy
> Dzwoni dziwacznym dzbanem mowy,
> Kochowski dźwięczy i Potocki
> Chocimskiej wojny śpiewa troski.
> Słyszysz jak dzwonią rymów cacka?
> To odezwała się Drużbacka.

Piąty zbiór wierszy Słobodnika niewątpliwie oznacza poważne obniżenie poziomu w porównaniu do poprzednich tomów. Zresztą jest to dziś pospolitem zjawiskiem, jesteśmy świadkami smutnego załamania się niejednego renomowanego talentu poetyckiego. Zdaje się, że można zaryzykować takie prawo: tylko w okresie młodzieńczym można pisać dobre wiersze, nie posiadając własnego kośćca teoretycznego, jest to widocznie wyrównawczym przywilejem dla młodych. Poeta, który nie dopracował się własnej teorji, powoli przestaje być poetą w miarę narastania lat.

Leopold Lewin. Sen zimowy. Warszawa 1934. F. Hoesick. Str. 24 i 4 nl.

Trzeci tomik wierszy młodego poety. Poprzednio wydane: „Wyrąb lasu“ (1931) i „Kora pisana“ (1933) zapowiadały starannego poetę o ograniczonych możliwościach. „Sen zimowy“ jest wynikiem wrażeń tatrzańskich. Motywy górskie należą do wiecznotrwałych tematów poetyckich, więcej niż inne zobowiązujących poetę. Autor omawianego zbiorku zapewne odczuwał ten postulat i dał cykl opracowany bardzo starannie. Jednakże podkreślona staranność posiada pełne znamiona potocznego artystowstwa, wypływającego z czystego epigonizmu. Poecie mniej zależy na przeprowadzeniu koncepcji treściowej, więcej — na ułożeniu dźwięcznego, nienagannego w swej czystości czterowiersza. Wartoby opracować studjum na temat czterowiersza w poezji współczesnej. Jest to niepokojące zjawisko. U większości poetów technika poetycka redukuje się do jednego zagadnienia — układania zwrotki czterowierszowej, jakby nie było tysiąca innych możliwości. U mniej ukonturowanych poetów powstaje brak odpowiedzialności za słowo, słowo staje się czekiem bez pokrycia lub barwną piłką skaczącą bez powodu po prostokątnym, gładkim korcie. Pospolite oznaki uwiądu słowa poetyckiego spotykamy w „Śnie zimowym“ na każdej stronie: djamentowa rosa, bryzgi świetlistych strumieni, skarbce bajecznych kamieni, nieprzebranych kruszców bezcenne kopalnie, łuny świateł widmowych, kwiatów zimowych okiście i t. p. wyrażenia, które właściwie nic nie oznaczają. Do wierszy Lewina wtargnęły widma, mniej było ich w tomikach poprzednich.

Stanisław Jerzy Lec. Barwy. Poezje. Nakładem księgarni Nowości. Lwów 1933. Str. 22 i 2 nl.

Debjut Leca należy zaliczyć do gatunku pochopnego nowatorstwa. Już niejeden podobny okaz zdobył należną pozycję w summarjuszu ciekawostek poetyckich, niejeden poeta musiał po latach przyznać się, że tego rodzaju wiersze były „porcją sztuczek“ (wyrażenie Anatola Sterna). Wiele ujemnych stron nieprzemyślanej awangardowości ułożyło się tutaj w kłębek o charakterze niezdecydowanym. Jest to nowatorstwo wczorajsze, pożyczane, pomieszanie doktryn Peipera z manierami początkującego skamandryzmu. Rzecz leży w tem, że epigonizm Leca jest niewątpliwie sztuczny, zawadzający raczej poecie. Lec przedstawia zapowiedź poety o niemałych możliwościach, o znacznych nawet zadatkach samowystarczalności, o czem przekonywuje taki wiersz, jak „Wino“. Toteż wszystkie ekstrawagancje pierwszego zbiorku trzeba chyba uznać za objaw młodzieńczego niezdyscyplinowania. Do tych ekstrawagancyj przedewszystkiem należy skłonność do słownictwa klozetowego, do metaforyki fizjologicznej („księżycowe cycki“). Może Lec stał się ofiarą tej zaciekłej propagandy, którą uprawiają pewne pisma „literackie“ na rzecz stylizowanej pornografji. Ten nowoczesny obskurantyzm, udrapowany w płaszcz postępu, już niejednego pisarza, dzięki reklamie mafji, wprowadził na rzekome wyżyny. Na marginesie książeczki Leca należy zanotować, że sztuka poetycka nie posiada własnego poważnego organu (w ostatnich czasach stara się tę dotkliwą lukę skutecznie zapełnić chełmska „Kamena“), że zagadnienia teoretyczne z zakresu twórczości poetyckiej leżą odłogiem, że dziedzina introspekcji poetyckiej jest nietknięta i t. d. Nic dziwnego, że w tych warunkach młodzi poeci niejednokrotnie sterują w kierunku zboczeń i szarlatanerji. Podobne refleksje nasuwają się nieustannie w trakcie czytania wierszy Leca, zdolnego i żywotnego poety, gubiącego się w chaosie ogólnej dezorjentacji.

St. Czernik.

Na gruzach ołtarzy

Ks. Dr. T. Mącior P. S. M. *„Na gruzach zburzonych ołtarzy“* 125 str. Wyd. Księży Palotynów. Warszawa 1934.

Walka z religją staje się coraz otwartsza. Znikają ostatnie obsłonki, jakiemi doniedawna był deizm w odróżnieniu od teizmu, mocno akcentowana cześć dla Jezusa jako człowieka, i t. p. Teraz już mówi się wyraźnie, że idzie o zniszczenie samej idei Boga. Kontrakcję ogromnie utrudnia brutalnie temperamentowy, nie-rozumowy charakter tej walki. Broń potężna, jaką jest filozofja absolutna, okazuje się tu właśnie z b y t potężną — niby armata w walce z chorobotwórczemi prątkami. Toteż działka lżejszego kalibru, jak np. omawiana tu praca ks. Mąciora, są niewątpliwie pożyteczne i pożądane — choć czytelnika, obeznanego ze wspomnianą filozofją, nieraz zakorci, by autor wzniósł swe tezy jeszcze o parę stopni wyżej i oparł je na niewzruszonej posadzie samejże wiedzy bezwzględnej. Ale prawda i to, że wówczas dziełko przestałoby być popularnem i — poprostu nie byłoby czytane.

Ton tej książki jest spokojny, rzeczowy, poważny, bez cienia retorycznego patosu, którym niekiedy grzeszą nasi pisarze duchowni. Znać, że autorowi chodzi nie o polemikę, tylko o prawdę. Gdy zasadniczy przeciwnik ma, w tych czy owych punktach, słuszność, ks. Mącior chętnie mu ją przyznaje. Więc naprz.: „Postulaty te (scilicet socjalistyczne) dotyczą przedewszystkiem stosunków ekonomicznych, społecznych i politycznych... Trzeba zaś przyznać, że postulaty ekonomiczne i społeczne, a częściowo i polityczne, w znacznej liczbie — powiedzmy nawet w większości — są słuszne i z zasadami katolicyzmu zgodne... My, katolicy nie jesteśmy na to, by za każdą cenę utrzymać dzisiejszy porządek świata, który tyle zawiera niesprawiedliwości, braków i okrucieństwa“. Tu mi się przypomina to, co Wroński, stanowczy przeciwnik socjalizmu integralnego, pisał do cara w *Cent pages:* „Le principe encore inconnu du socialisme, que les peuples pressentent déjà si vivement aujourd'hui, est non-seulement un principe réel, mais surtout un principe fondamental de l'actuelle et imminente régénération sociale; principe que, par conséquent, aucune force humaine ne pourra plus reprimer dans le monde“. — Albo znów: „Możemy przyznać, że naprawdę zachodzą wypadki, w których zerwanie małżeństwa byłoby i dla danych osób i dla całości rodziny bardziej na miejscu“; poczem autor wytacza kontrargument, filozoficznie ważki, lecz tu trochę sumarycznie podany, o uniwersalizmie norm moralnych.

Ceterum censeo: rdzeniem rozpętanej na wszystkich polach antynomji jest nieuchwycenie przez ludzkość idei absolutu, a przeto niemożność należytego ustosunkowania indywidualności i powszechności, które obie są j e d n a k o nieusuwalnemi i koniecznemi składnikami rzeczywistości wszechświata. Niesposób ugruntować jednostki, gdy się zarazem chce zniszczyć ideę Boga, czyli właśnie absolutną więź rozumową. Ktokolwiek konsekwentnie relatywizuje czy też niszczy tę absolutną powszechność, ten nieuchronnie musi albo wpaść w jałowy solipsyzm lub beznadziejną atomizację, niedającą się już powstrzymać aż do zupełnego samounicestwienia; albo musi arbitralnie, więc bezokreślnie, absolutyzować różne powszechności częściowe i względne, - społeczeństwo (komunizm), naród (nacjonalizm), państwo (faszyzm), klasa (socjalizm), ludzkość (kosmopolityzm). Ks. Mącior wnikliwie to podkreśla (str. 9) w rozdziale tytułowym.

Autor porusza wiele zagadnień i nieraz umie utrafić — w formie zresztą wybitnie popularnej — w samo sedno rzeczy. Z wolnomyślicielami prawuje się o... wolność myśli, słusznie i dowodnie wykazując ich namiętną nietolerancję i wręcz fanatyczny dogmatyzm. Podkreśla, jak rażąco niekonsekwentnie materjalizm socjalistyczny, aby się utrzymać, musi odwoływać się właśnie do eleuterycznych pierwiastków w człowieku: do jego idealizmu, altruizmu i t. p. Zapytuje, czy ateistyczny komunizm, sowiecki np., istotnie dał rzeszom owo szczęście ziemskie, które miało być jedynym rozsądnym celem człowieka? A jeśli to szczęście będzie udziałem przyszłych dopiero pokoleń, to czemuż ja, akurat z materjalistycznego stanowiska, mam uznać wnuka za ważniejszego ode mnie? I jakim cudem ktokolwiek wogóle może dla mnie być ode mnie ważniejszy? A skoro mi już ni stąd ni zowąd każą być takim altruistą, to czemu raczej na korzyść wnuka, niż naprz. na korzyść mego sąsiada — kapitalisty?...

Szczupłość miejsca kazała mi się ograniczyć do rzeczy najbardziej zasadniczych. Dla orjentacji tedy, przytoczę jeszcze tylko nagłówki kilku ważniejszych rozdziałów: Bankructwo nadczłowieka; Świecka moralność; Świat tajemnic; Na bezdrożach kapitalizmu; Kościół a socjalizm; Uniwersalizm; Czy upadek cywilizacji zachodniej?

Cz. J—K.

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.216
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Solec 87.